Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 19. Poznań, dnia 5. Sierpnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Les sept cordes de la Lyre.

Par G. Sand.

(Dokończenie.)

Allegorya, parabole, symbole i t. p., przebierania i maskarady myśli, dobre były w wieku, kiedy ścisłość reguł ograniczała przedmioty pisarzowi, lecz nie mają i nie mogą dziś mieć miejsca, bo są skutkiem bez przyczyny (?) Pojmujem, gdy bojąc się być poznanym, ktoś się maskuje, lecz dziś na cóż ta maskarada o białym dniu, wśród swoich, gdy prócz tego wszyscy poznają, a nikt nikomu żadnéj myśli szczeréj, za złe mieć nie może? Pojmujem allegorycznego Gargantuę i Pantagruela, okrywającego się szatą obluzganą, i czapką błazeńską, dla utajenia tak ważnych, a tak niebezpiecznych na ówczas myśli, o wadach i kalectwie wszystkich stanów; ale niepojmujem żadnéj allegoryi u p. Sand, bo niewidzim przyczyny, nieznajdujem, żeby allegoryczne, postaciowe w celu filozoficznym obrobienie myśli, mogło mieć za sobą jakiekolwiek korzyści. Przeciwnie ma ta forma wielkie i nieoddzielne od niéj niedoskonałości. Jednem słowem chcemy w tym dramacie dzieła sztuki, nie dzieła filozoficznego, a znajdujem pomięszane dwa cele, dwie twarze, które przez to, że są dwie, blade są i bez życia.

Symboliczny sposób widzenia rzeczy, sposób bardzo fałszywy, niewiem, czy nie z historyków dzisiejszych francuzkich wzięła p. Sand; to pewna, że go dziś nadużyto, i że wszyscy, jakby chcieli walczyć z biblią Royaumonta, widzą wszędzie same tylko symbole.

Tak Spiridion był symbolem, uosobieniem dzisiejszego usposobienia umysłów niektórych we Francyi w materyi wiary, tak siedem stron lutni, jest pełne nie jasno rozwiniętych symbolów różnych zjawisk umysłowych. Lecz oto treść dramatu.

Na scenę wychodzą mistrz filozof Albertus i kilku jego uczniów; towarzystwo, jak się pokazuje z jego rozmów, żyjące w XIX. wieku, lecz cale nie z tego wieku, nie podobne niczemu dziś żyjącemu, bo ani takich filozofów, ani takich uczniów, nawet w Niemczech p. Sand niezobaczy: są to jakieś abstrakcye professora i uczniów, z niewiedzieć jakiego czasu i kraju. M. Albertus ma wychowanicę Helenę, którą kochają wszyscy jego uczniowie, którą on sam potajemnie kocha, która tylko co wyszła z obłąkania, wykurowana przez mistrza. Jéj obłąkanie pochodziło z tego, iż dotknęła się lutni zaczarowanéj, w któréj zamknięty jest duch jéj dziada czy ojca, zaklęty tak, iż go tylko bez grzechu dziewica, poświęceniem swojem i miłością niepokalaną żadnem ziemskiem uczuciem oswobodzić może. Tego zaklętego nieszczęśliwego ducha lutni chce do piekła zagarnąć Mefistofeles (bo tu jest i Mefistofeles), czego rozbiwszy lutnię dokazać zamyśla; lecz duchy niebieskie bronią lutni i bratniego w niéj zaklętego ducha, i niedają mu się dotknąć zaczarowanego instrumentu. Szatan więc używa do tego ludzi, a i ludzie nic dokonać nie mogą. Najsłabsza podobno scena i całkiem trywialna jest ta, w któréj Mefistofeles wprowadza poetę, muzyka, krytyka, malarza, sądząc, że ci pokłóciwszy się o lutnią, roztłuką ją. Lutnia ta czasem dźwięk wydaje, czasem milczy pod palcami, czasem ją słyszy tylko grający. Mefistofeles jak może się uwija w roli podszczuwacza, usiłując różnemi sposoby popsuć Helenę, mistrza Albertusa zgorszyć, naprowadzić ich na co niedobrego i po staremu do piekła wtrącić. Wreście Helena gra na lutni, która do niéj przemawia, dla innych będąc niemą, cuda z nią dokazuje, dostaje jakiegoś rodzaju rozumnego poetyczego obłąkania (wynalazek nie nowy przynajmniéj). M. Albertus nie pojmuje ani lutni, ani Heleny, obie chce analitycznie, materyalnie zrozumieć i za radą Mefistofelesa po jednéj stronie lutni odrywa, które w ręku jego pękają. Tu jest mistyczne, symboliczne miejsce, bo złote strony lutni śpiewają nieśmiertelność i nieskończoność duchowną, srebrne wielbią Boga w jego dziełach zmysłom podpadających, stalowe samą ziemię śpiewają, a ostatnia strona przemawia tylko samym zwierzęcym

szałem miłości ziemskiéj, bydlęcéj. M. Albertus wśród tych śpiewów pełnych patetyzmu, coraz bardziéj podżegany od Mefistofelesa pali się do Heleny, któréj ziemska miłość i sam nawet śpiew lutni coraz poziomu bliżéj, od myśli o niebiesiech odwieść nie mogą. Dopełnia się uwolnienie ducha lutni, przez to samo, iż Helena czystą jest i niezepsutą do końca. Ostatnia strona, która szał tylko ziemski śpiewała, pęka, Helena idzie do nieba, a M. Albertus na lekcyą djabeł, powraca z dekonfiturowany do piekła.

Do tego osobliwszego dramatu wchodzi prócz mistrza Heleny, uczniów i djabła, mnóstwo artystów, mieszczan i wiele innych osób podrzędnych. Co p. Sand chciała przez tą całą sztukę wyrazić — niewiemy, czyli (co najpodobniéj) był to tylko pretext do pięknych deklamacyi?? bez planu i myśli artystycznéj i filozoficznéj? Tak bym sądził, widząc, iż tu zupełnie brak jedności i związku, a według mnie jedna tylko dusza w doskonałem dziele, jak w człowieku być powinna, jedna dusza, któréj wszystko posługuje. Tu zaś mnóstwo zawsze o pierwszeństwo ubiegających się myśli walczy z sobą i źmi się wzajemnie.

Co się tyczy stylu, ten nieliczący bardzo pięknych miejsc wielu, grzeszy gdzieniegdzie prostotą wyszukaną w rozmowach mistrza z uczniami, a w ogólności znać w nim pośpiech charakteryzujący wszystkie płody dzisiejsze. W ogólności ostatnie dwa pisma p. Sand, przekonywają nas, że i ona potrafi się zestarzeć i przebrać nareście. *J. J. Kraszewski.*

Omelno w Czerwcu 1839.

Literatura krajowa.

Poezya.

Nadzieja.

Kiedy boleści dochodzi kres,
Walczącéj duszy siły już mdleją;
Kiedy już oczom nie staje łez,
Jeszcze jest życie . . . . zwie się nadzieją!

Wielkie to życie, z wysokich stref
To błogie czucie na nas się zlewa,
Z niém nie zastyga i starca krew,
Przez nie i w młodym sercu dojrzewa.

Cząstkę wieczności człowiek ten ma,
Który się jeszcze spodziewać umie . . .
Próżno zwodnicza złych losów gra,
Chce go pomieszać w swych ofiar tłumie;

Ni on rozpaczy zwalczyć się da,
Ni ranić wzgardzie, spokorzyć dumie,
Bo w nim wieczności ta cząstka trwa,
Co się tu jeszcze spodziewać umie!!

Ach! czasem miłość ku lubéj stronie.
Lub nie przestępny kochanki próg,
Albo sieroctwo po świeżym zgonie,
Albo od śmierci zawziętszy wróg

Każą pogrzebać samę nadzieję!
Wtedy, jak lampa w grobie zatleje,
Wtedy, jak lampa świadczy tajemnicę,
Któréj choć ludzkie nie dojrzą zrzenice,
Ona zwiastuje, że tam jest Bóg!!

O.

Czego przede wszystkiem literaturze naszéj potrzeba?

Pomiernie uczciwie
A kupką a w zgodzie,
Tak ubóstwo żywie
I świat nie dobodzie......

* * *

Jaki jest rzeczywisty stan dzisiejszéj naszéj literatury — i gdyby przyszło zdać sprawę z niéj, postronnym a nawet i swoim, i cóż byśmy powiedzieli? — Wymienilibyśmy kilka imion, kilka ksiąg, kilka pism czasowych i zaledwo, że nie jednym tchem, możnaby objąć całą dzisiejszą jéj sferę. Nie mówię o tem, żebyśmy mogli na równi stawać z innemi narodami, ale na nas samych jest to za mało; nie zdołamy bowiem, nawet pokryć niezbędnéj potrzeby domowéj. — Książki, które u nas wychodzą, są tak nie podobne do siebie i do kraju naszego, są z tak różnych sfer żywcem wychwycone, jak gdyby każda z nich w innym kraju, w innym wieku pisaną była. Nie ma nic litego, nic ciągłego, nic, coby się jednostajnie z narodem i ziemią wiązało. — Jest u nas wprawdzie ogólnik, ktorym każdemu na to w oczy rzucamy; jest u nas upowszechnione mniemanie, że się w téj rozmaitości wycierają umysły; ale ja sądzę, że nasz świat czytający jest raczéj podobny do chorego, na którym lekarze swoich teoryi kolejno próbują: każdy swoim strojem, co głowa to rozum, a wszyscy razem głodzą go. Niechby się sobie bawili, gdyby tutaj nie chodziło o życie, i gdyby w istocie ktoś inny radził o zdrowiu chorego. Wszakże zabawa taka jest trochę za kosztowną na nas; bo nie można powiedzieć, żeby się tutaj wycierały umysły, ale raczéj należy przyznać, że się w téj grze, szczupłe nasze siły do szczętu ścierają i marnotrawią. Z ilużto trudnościami nie ma u nas książka do walczenia, za nim się na świat pojawi? Zaledwo czasem w lat kilka, dochodzi do rąk tych, którzy jéj najstaranniéj poszukują. W braku tego, co

każdy szuka dla siebie, czytamy to, co pod rękę padnie, a w ówczas ileż to zawodu? uczony znajduje tylko płytkie rozprawy dziennikarzy francuzkich, kobieta szukając zabawy, traktat o numizmatyce, gospodarz historyczne wywody o początku Sławian, historyk dawnego kroju wykłady filozofii niemieckiéj, a młodzieniec potrzebujący nauki, uczy się wierszy na pamięć. — Za nim pierwszy zeszyt pisma czasowego przedrze się przez puszcze i stepy, przez łaskawe ręce księgarzy i tych, co się tem bawią i opiekują, to już też wyszedł i ostatni zeszyt: u źródła tymczasem i pismo upadło, a upadło dla braku czytelników. Redaktorowie (a o najlepszych mówię tylko) nie starają o to po największéj części, ażeby odpowiedzieli potrzebom kraju, i zastósowali się do wyobrażeń najwięcéj upowszechnionych w narodzie i krążących w obieg, a zająwszy naprzód stanowisko czytelników, nie przestają na tem, żeby iść z nimi daléj, albo ich prowadzić; ale zapatrują się z posady własnéj na świat, na sztuki i umiejętności, a wychodząc z punktu widzenia rzeczy, na którym po wiekach pracy i mozoły sztuki i nauki u postronnych stanęły, wyrywają obce rzeczy żywcem, prawią je dzikim językiem, i bywają albo niepoznani od publiczności, albo nie czytani wcale, i tracą w ten sposób wszelki wpływ na ogół. A szkoda to wielka, żeby rzeczy rozumnych, człowiek nie miał czytać i pojmować, gdy je ma pod ręką. Lubimy także sympatyzować z geniuszami innych narodów, a i to nie małą wyrządza nam szkodę, byle głośniejsze imie za granicą, a już niema końca pochwałom i co za tem idzie, zaraz nabijamy i wiersz i prozę na cudze kopyto. Co zaś najzdrożniejsze jest, że to właśnie ci ludzie czynią, którzy się najwięcéj na cudzoziemszczyznę u nas użalają. Każde wyszłe dzieło bywa przymierzane do skali najdoskonalszych dzieł, które w podobnym zawodzie za granicą wychodzą; a rzecz prosta, że ztąd wyrok surowy na autora pada, który o cudzym albo krwawym chlebie nad dziełem pracował, a o pożyczonym groszu rękopis wytłoczył. Do tego potrzeba dodać, że się łatwiéj odgłos nagan rzeczy pisanych rozchodzi, niż dzieła same. Ztąd nieustające skargi na piszących i wydawców, ztąd niepoznanie prawdziwych zasług, ztąd żale na ospałość i niesprawiedliwość jednéj i drugiéj strony, a co najgorsza, ztąd rodzi się przekonanie, że nic dobrego w kraju nie wychodzi i wyjść nie może, a gdyby nawet wyszło, to się nie ostoi. Ile koteryi literackich, tyle szkół odmiennych w literaturze; w potrzebach koteryi, które ich otaczają, widzą częstokroć autorowie, potrzeby całego narodu; tak rosną poemata, księgi naukowe i pisma czasowe, z których ogół żadnéj prawie nie ciągnie korzyści, i cała nasza literatura, leży właściwie, za obrębem rzeczywistego życia narodu i potrzeb jego. — Mówimy o wielkich postępach literatury, ale naród nie czuje tego. Szczęściem jest wprawdzie złudzenie, ale szczęściem tylko krótko trwałem; ogół nie lubi się łudzić, rychło obliczył on się z płodami dzisiejszéj literatury i wyrzekł o niéj zdanie po swojemu, t. j. szukając zabawy, ucieka do Francuzów, a szukając nauki, idzie do Niemców. Bo świat domaga się praw swoich i kiedy nie znajduje w domu tego, czego mu potrzeba, stara się zadowolnić postronnie. Nikt nie kreśli liter na zapisanéj karcie, nikt nie zakłada osad w przeludnionym kraju, lecz gdzie czczość tylko i step goły: tam wolno pisać na białéj karcie i osiadać puste odłogi. — Trudno będzie nam w literaturze naszéj wybrnąć z tych podziałów na szkoły rozliczne, zaledwo zdołamy, kiedy odeprzeć te najazdy nie zdrowéj nauki i dzikiego rozumu, jeżeli czas nasz nie utworzy czegoś takiego, coby w istocie odpowiedziało potrzebom ogółu i wzbudziło w nim zaufanie do piszących, które znikło. Nigdy nie miała literatura nasza z tylu trudnościami do walczenia, co dziś; bo prócz dawnych nieprzyjaciół znajduje dziś najstraszniejszych w liczbie samychże pisarzy, którzy nietrafnością swoją, rozmijają się coraz więcéj z istotnemi potrzebami całego narodu. Żaden z pisarzy nie ma wzięcia powszechnego, nie ma powagi w narodzie ani wiary, ani zaufania. Głos tylko kilku poetów sięga szerzéj. Poezya jest wprawdzie pięknym kwiatem życia, ale sama poezya nie trzyma wagi życia, bo świat na prozie stoi. Próżno kusiłby się największy geniusz, dzisiaj u nas, na przywrócenie tego zaufania i tego błogiego stósunku, w jakim stać powinien autor do ogółu, dla którego pracuje. Nie leży to już dzisiaj w mocy pojedyńczych ludzi; negacya ta jest tak powszechną i silną, że jéj tylko zjednoczonemi siłami można stawić czoło; potrzeba zaś walczyć przeciwko niéj, bo wszelka negacya nie jest życiem, lecz chorobą, lecz śmiercią, czy to w człowieku, czy to w narodzie. — Radziłbym tedy, żeby wszyscy, co się choć potrosze na siłach czują, wszyscy razem mowię jednę napisali księgę, a pewien jestem, że się naród do téj księgi przyzna, że odpowie potrzebom jego, że ją nazwie swoją, że ją pokocha i pojedna się znowu z piszącymi i powróci im znowu zaufanie swoje. Bo dopiero na ówczas zasłużą właściwie na zaufanie narodu. Taką księgą sądzę, byłby słownik powszechny historyczny w zastósowaniu do rzeczy ojczystych. — Mało mamy pisarzy, bo piśmiennictwo nie stoi u nas o sile własnéj, t. j. nie daje chleba. Wypa-

dałoby być tedy panem naprzód, nie zawisłym od trosk powszednich, chcąc zostać pisarzem lub sposobiąc się do naukowego zawodu, a i to znowu nie dobrze, bo majątek zawadza uczonym i trudniéj go pono utrzymać niż zrobić. — Mało mamy bibliotek, a właściwie trudno jest przyjść do kilkuset polskich książek, człowiekowi ubogiemu, zbierając je nawet całe życie, bo trudno się nawet dopytać o nie. — Raz wyszła księga nie zapisana w katalogach,ześliźnie po składach, roztrwoni się po świecie, a nie ma człowieka, coby się powtórnym jéj nakładem zajął. Żeby zaś rozgrabione po świecie księgi nasze zebrać, i zupełną polską bibliotekę złożyć, na to trzeba czegoś więcéj jeszcze, niż pana, niż uczonego, lub summ neapolitańskich! kiedy zaś tak trudno zbiory podobne tym przychodzą, co już są uczonymi lub panami odpowiednich środków, cóż przychodzi o tych dopiero powiedzieć, co ani środków w ręku nie mają, ani czują potrzeby kształcenia się, ani mają nakoniec drogi sobie wskazanéj, którąby iść wypadało, chcąc pracować w naukowym zawodzie. — Cóż przychodzi powiedzieć o ogóle łaknącym oświaty i młodzi kształcącéj się w szkołach, z któréj przyszli pisarze wyjść mają? — Ztąd to pochodzi tak zwana niepłodność pisarzy naszych; dopóki serce gorętsze, dopóki umysł mniéj baczny na stósunki życia, dopóki szczęśliwsza jeszcze gwiazda nad młodą duszą świeci, zerwie się nie jeden, i napisze ksiąg kilka lub zanuci kilka pieśni, a potem — potem — potrzeba wychylić kielich goryczy żywota aż do dna i kogo geniusz nie wyrwie z téj nędzy, lub Bóg nie wesprze na ciernistéj drodze, ten upada, rzuca się na codzienne zatrudnienia, złorzeczy pięknym natchnieniom młodości swojéj, lub ogląda się na nią, jak na swój raj utracony. Ztąd to tylu renegatów mamy w literaturze naszéj ludzi, którzy dawniéj pisali, a dziś ani myślą o tem. Ztąd jest uczony lub poeta miany powszechnie u nas za nie realnego człowieka. Wiele trzymamy o tem, czemby nasza literatura być powinna. To wyobrażenie urojonéj doskonałości, wielkie wyrządza nam szkody, ideał ten bowiem nie staje się bodźcem, i owszem opadają nam ręce, bo czujemy, iż to są dla nas rzeczy nie dojrzałe, a chcemy je mieć do razu. Każdy mierząc się z siłami własnemi, czuje niemoc swą, a za przykrą wydaje się rzeczą prosić pomocy drugiego, albo służyć drugiemu. Ledwo, że pismo czasowe, i to tylko na chwilę ujrzy kilku pod jednym dachem. Wielu jest takich, którzy tylko pewien zawód umiejętności umiłowali i nic wyższego nad to nie widzą, czem się sami zajmują, jednostronność ta zradza podobneż płody w literaturze; ale jednostronności takie w jedno ognisko zebrane, utworzyłyby doskonałe dzieło, bo każdy zna swój zawód. — Innym znowu uczonym brak na zachęceniu, widząc, że wszystko do koła nich drzymie, zasypiają i oni na laurach. Takich potrzeba obudzić. — Wielu jest u nas ludzi, którzy dokładne posiadają wiadomości w tym lub w owym zawodzie, lecz za mało mają odwagi, żeby się z niemi w świat puścić, bez pleców i powagi w literackim świecie, takich potrzeba ośmielić. — W końcu przychodzi tutaj mówić o pisarzach, których nowsze czasy odsądziły od praw obywatelstwa w literaturze, t. j. o pisarzach żyjących jeszcze, tak zwanéj literatury klassycznéj, którzy gruntowne posiadają wiadomości, a których nauka zahukana, dziś bez korzyści odłogiem dla narodu leży; tym potrzeba cześć powrócić, a może potrzeba ich nawet przeprosić. — Dzieło podobne, jak jest „Słownik powszechny historyczny Polski“, byłby jedyną książką, któraby odpowiadała potrzebom całego narodu i czasu. W połączeniu pracy wszystkich uczonych kraju naszego, mógłby się wkrótce pojawić, zastąpiłby brak bibliotek i stałby się księgą ksiąg polskich. — Znane są z historyi wpływy, jakie na losy całéj ludzkości wywarły prace encyklopedystów francuzkich. Nie potrzeba się wszakże obawiać w naszym wieku w wieku filozoficznym, ich jednostronności, i naciągania wypadków do pewnych widoków, nie popadniem w błąd ten, gdy to przeszłemu wiekowi za największy błąd poczytujem. — Niemcy, gdzie oświata wszystkie klassy ludu przejmuje, gdzie akademie i szkółki wiejskie zarówno kwitną, gdzie tyle jest uczonych zjazdów, tyle towarzystw naukowych, gdzie dziś z całéj Europy sztuki i umiejętności na najwyższym stopniu stoją — Niemcy, którzy handel książkowy całego świata, do siebie ściągnąć umieli: uczuli jednak potrzebę Konwersacyjnego Lexikonu, i z pewnym rodzajem dumy słyszałem ich o nim mówiących: Das ist unser deutsches Buch. Na warstatach rękodzielni, na połkach szkółek wiejskich, i na stole pierwszych uczonych całych Niemiec, staje się ta księga u nich nic odbicie potrzebną. — A dla czegoż my jéj mieć nie mamy? Dla czegoż nie mielibyśmy z równą dumą wznieść księgi, i powiedzieć do obcych i swoich: Owo księga nasza. Nie chciejmy tylko wielkiéj doskonałości do razu, a zrobimy rzecz pożyteczną; „Nie razem Kraków zbudowano, a Wisła Wiselką nim minie Ustronie.“

Skarżymy się wiecznie na cudzoziemców, i na ich niesprawiedliwość, że z ujmą sławy narodowéj piszą o nas i sądzą nas z fałszywego stanowiska: napiszmy tedy coś takiego, coby się w dzisiejszym czasie przystępnym stało dla cudzoziemców, a sprostujem ich zdanie o na-

szym narodzie, i trudność języka nie będzie trudnością, bo za nim się postrzeżem, wcielą oni nasz słownik do swoich encyklopedyi. — Skarżymy się wiecznie na francuzczyznę, zarzućmy czytelników naszych dobrą, tanią, i sporą książką, a nie będą pewnie ubiegać się za obcemi książkami, które u nas także nie łatwo przychodzą.

(Dokończenie nastąpi.)

O Puławskim i Szycu.

(Z rękopismu do panowania Augusta III. i Stanisława Poniatowskiego.)

Po wyjściu z Tureczczyzny konfederatów barskich pokazał się najpierwszy na teatrze wojennym w charakterze czyli randze marszałka Sanockiego Kazimierz Puławski z dwiema bracią swemi rodzonemi, synami Puławskiego starosty Wareckiego, w Konstantynopolu w kajdanach zmarłego (jako masz o tem w swojem miejscu). Ten Kazimierz Puławski, serca wielkiego kawaler, uganiał się z Rossyą rozmaitym szczęściem po Rusi i Litwie przez dwa roki, póki się nie dostał do Częstochowy (jako się niżéj powie.) W Litwie pod Myszą przegrawszy na głowę, stracił brata jednego na placu zabitego, pospołu z metressą jego po amazońsku przebraną i drugiego w niewolą pojmanego. Sam zaś z resztą niedobitków rejterował się pod Białystok, dobr Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, od którego wsparty chorągwią jańczarską kompulową, zwykle hetmanom wielkim assystującą, i innym ludem nadwornym tegoż pana, tudzież ammunicyą wojenną, stoczył znowu bitwę z Rossyanami, lecz po długiéj i krwawéj z obu stron rozprawie, musiał ustąpić placu przemagającéj sile rossyjskiéj, nie oparłszy się, aż w Krakowskim.

Widzieli Rossyanie, jak z pałacu hetmańskiego w czasie bitwy dodawano Puławskiemu koszami ładunków, widzieli, jak się z tą przysługą uwijała po placu liberya hetmańska, widzieli Jańczarów, stojących w szeregach Puławskiego i z nim wraz z placu ustępujących, zgoła widzieli jawne i oczywiste dowody pomocy hetmańskiéj dawanéj Puławskiemu w téj potyczce. Jednakże po otrzymanym zwycięztwie nad Puławskim żadnéj zemsty nie wzięli z hetmana, ani z dóbr jego; wszystko to z mrużonem okiem pokryte zostało. A to dla czego, kiedy inni panowie i szlachta nie tylko za jawną konfederatom pomoc, ale nawet za samę suspicyą pomocy lub sprzyjania, rabunkiem dóbr, porwaniem w kajdany albo i życiem samem, rozjuszonym odpowiadać musieli? Tajemnica ta łatwa jest do wyłuszczenia. Branicki Starzec, wiekiem obciążony, z władzy nad wojskiem przez sejm konwokacyjny i następne po nim wyzuty, nie mógł najmniejszéj obawy czynić Rossyanom: żonę miał siostrę rodzoną Stanisława Augusta króla, któréj żonie zapisał dożywocie na wszystkich dobrach swoich i kwit z inwentarza. Nie można tedy było mścić się na osobie Branickiego, bo żona z bratem swoim królem zastępowali go od najmniejszéj krzywdy; nie z miłości, bo dziad stary nie był do niéj sposobny, ale z bojaźni, ażeby dolegliwością jaką od kogo dotchnięty, nie zemścił się na niéj przez odwołanie zapisów. Nie mogli także mścić się na dobrach jego, które były żony wspólne, a tak starzec pod takiem zastępstwem zostający, burczał sobie śmiało w pokojach swoich na Rossyan i króla, nie zowiąc go nigdy inaczéj tylko panem Stanisławem. Tym sposobem nieprzyjaciele, mając ręce związane do zemsty nad Branickim, wyszli z dóbr jego, nie uczyniwszy w nich żadnéj szkody.

Puławski wodził za sobą nieprzyjaciela po Krakowskim i Podgorzu, i nic go bardziéj nie bawiło, jak utarczki z Rossyanami. Był wielce wstrzymięźliwy tak od pijaństwa, jak od kobiet. Zabawy jego najmilsze były w czasie od nieprzyjaciela wolnym, ćwiczenie się w strzelaniu z ręcznéj broni, passować się z kim tęgim, na koniu różnych sztuk dokazywać, a w karty grać po całych nocach. Był statury nizkiéj, chuderlawy, szczupły w sobie, mowy prędkiéj i chodu takiegoż. W potyczkach zapominał o wszystkiem i sam się najpierwéj w największe niebezpieczeństwo narażał. Dla tego też często przegrywał.

Lecz potem przywiązał się do niego niejaki Szyc, rodem Węgrzyn, żołnierz w sztuce wojennéj przewyższający Puławskiago, a w odwadze bynajmniéj mu nie ustępujący pierwszeństwa. Ten Szyc był najprzód w wojsku Cesarskiem jakimś officerem, potem znajdował się w służbie książęcia Radziwiłła wojewody Wileńskiego, po rozproszeniu którego milicyi i zajechaniu mu dóbr przez nieprzyjaciela, bawił się w Polsce aż do konfederacyi Barskiéj, do któréj się przywiązał. Puławski w partyi swojéj uczynił go pułkownikiem nad pułkiem huzarów. Bo jaki tylko gatunek żołnierzy znajdował się na świecie, każdy znajdował się w Puławskiego: huzary, Turki czyli Bośniaki, dragony, towarzystwo, szeregowce, jańczary etc., a wszystko to goło, odarto, ale żwawo i dla kraju naprzykrzono. Dla tego też żydzi, który najwięcéj musieli szafować Puławskiemu na okrycie wojska jego i różnych potrzeb, a najwięcéj bezpłatnie, nazywali Puławskiego Połapskim. To pobocznie wyraziwszy, wracam się do Szyca.

Wiele razy Puławski w akcyi z Rossyanami miał przy sobie Szyca, zawsze albo wygrał, albo przynajmniéj porządnie i z małą stratą schodził z placu; wiele razy z przyrodzonéj gorącości swojéj porwał się na Rossyanów bez Szyca, zawsze pobitym został i rozproszonym. A przecie miał tę ambicyą o swojéj doskonałości, że nigdy Szycowi grać pierwszéj roli w potyczce nie pozwolił. Dla tego też Szyc często się od niego oddzielał, mianowicie, gdy widział, iż przy dobréj sprawie mógł jaki awantaż na nieprzyjacielu otrzymać, któremu przeszkodzić gorącość Puławskiego mogłaby była. I tak jednego razu z dywizyą od kilkuset ludzi z huzarów i towarzystwa złożoną, poszedłszy Szyc pod Lwów, napadł na przedmieściu tamtejszem na Rossyan niespodzianie, wyrznął niemal wszystkich, których tam było do pięciset, kassę zabrał, majora rossyjskiego i żonę jego wraz z mężem w jednym budynku broniących się zabił. To gdy się działo w przedmieściu, Korytowski, kommendant Lwowski, partyą królewską trzymający, zamknął się w mieście. Szyc, nie mając w swoim korpusie piechoty ani armat tylko samę jazdę, nie attakował Korytowskiego, wrócił się z znaczną zdobyczą do Puławskiego w Krakowskie.

Po uspokojonéj konfederacyi ten Szyc wszedł w służbę rossyjską, dano mu pułk huzarów nowoserbskich. Słychać zaś było o tym Szycu, że zginął w drugiéj wojnie, która powstała między Rossyą i Turczynem o Krym roku 1787.

Przegląd pism.

Skarbiec historyi polskiéj *przez Karola Sieńkiewicza,* z godłem: *Za prawdo gospodzin da miłośćz, a zema nasza da owoc swoi.* Tom I. 1839.

Zawiera najprzód Podróż Ambrożego Kontaryniego przez Polskę do Persyi 1474—1477. Po wzięciu Konstantynopola przez Turków, Wenecya bardziéj niż inne państwa zagrożona tak w handlu, jak i w posiadłościach swoich, przez częstych posłanników pobudzała do wojny przeciw Turkom Polskę, Rossyą, a nadewszystko Persyą, gdzie i tenczas Uzum Kassan, nieprzyjaciel i pogromca Turków, panował. Do niego był wysłany Ambroży Kontaryni, znakomitego rodu Weneta, a za jedną drogą, w tymże interesie i do Kazimierza Jagiellończyka. Wspomnieć tu wypada, że w tymże czasie zjawił się na dworze polskim inny Włoch: Katerino-Zeno, poseł, a nawet powinowaty Uzum-Kassana króla perskiego, z listem chaldejskiemi literami, jak Długosz powiada, pisanym, wzywając także do wspólnictwa wojny przeciw Turkom. Uzum Kassan obiecywał Kazimierzowi przez posła swego pomoc i dawał nadzieję osiągnienia tronu carogrodzkiego, ofiarując jednemu z jego synów rękę córki swojéj, a po matce dziedziczki Cesarzów wschodnich. Relacya Kontaryniego była kilkakrotnie drukowaną po włosku, po łacinie, po francuzku; tłómaczenie polskie winniśmy Niemcewiczowi. Oto z niéj wyjątek:

»Wyjechałem z Wenecyi 23 Lut. 1474., mając z sobą wielebnego Testa kapelana mego i sekretarza, Demetriusza Seze ekonoma i tłómacza, i dwóch pacholków. W Norymberdze znalazłem posłów Króla Jmci Polskiego, którzy mnie zabrali z sobą do kraju. Dnia 31. Marca wjechaliśmy do Międzyrzecza, niewielkiego ale porządnego miasteczka polskiego z pięknym zamkiem. D. 2. Kwiet. przybyliśmy do Poznania, miasto to godne wspomnienia dla pięknych ulic i gmachów swoich, jako też dla znacznéj liczby bogatych kupców. W wielką sobotę przybyliśmy do Łęczycy, gdzie się znajdował Król Jmć Polski Kazimierz; dnia 11. zrana przysłał mi Król suknią czarną adamaszkową, wzywając mnie do siebie; podług więc zwyczaju kraju tego, ubrałem się w tę suknię i poszedłem w towarzystwie licznych dworzan. Po oddanéj czołobitności, wedle polskiego obyczaju, złożyłem Królowi dar Rpltéj. Król kazał mi zostać na obiad. Jedzą zwyczajem naszym, potrawy wybornie przyprawione i obfite, słowem tak łaskawie mnie przyjął, iżem się utwierdził w powszechném o monarsze tym mniemaniu, że nie ma mędrszego i sprawiedliwszego Króla jak Kazimierz. D. 19. Kwiet. przybyłem do Lublina; grod wygodny z zamkiem, gdzie się znajdowało czterech Królewiczów polskich, z których najstarszy mógł mieć lat 15, a następni jeden od drugiego rokiem młodsi. Mieszkali w zamku z arcyuczonym mistrzem swoim (Długoszem). Życzyli, zapewne z woli ojca, abym ich odwiedził. Poszedłem więc do nich. Jeden z nich rozmawiał ze mną, tak rozsądnie, jak tylko być może. Uważałem, że Królewicze wielce szanują nauczyciela swego. Przy pożegnaniu odprowadzili mnie do drzwi. D. 20. Kwiet. wyjechaliśmy z Polski do Rusi dolnéj, należącéj także do Króla polskiego. Jadąc lasami, nocując czasem w zamkach, czasem w małych lepiankach, stanęliśmy w mieście zwaném Łuck, gdzieśmy w niemałém znaleźli się niebezpieczeństwie, z przyczyny weselnych na dniu tym godów; wielu tam było podpiłych ludzi. Niemając wina, upijają się miodem, mocniejszym nierównie od wina. Jadąc daléj przez niebezpieczne lasy pełne rozbójników, nie znalazłszy nigdzie mieszkania, musieliśmy nocować w boru, nie mając nic do jedzenia; musiałem całą noc straż odprawiać. Dnia 1. Maja przybyliśmy do Kijowa, zostającego pod rządem Polaka katolika nazwiskiem Pammartin (Pan Marcin Gastold). Do Kijowa zjeżdża się wielu kupców z futrami z głębi Rossyi; zebrani w karawanę jadą do Kaffy. Tatarzy rozbijają ich często; kraj tutejszy obfituje w zboże i mięso. Zwyczajem mieszkańców jest, do godziny 3. zatrudniać się sprawami swemi, poczém idą do karczmy, piją i hulają. Dn. 2. Maja Pan Marcin przysłał kilku dworzan, zapraszając mnie na obiad. Po przywitaniu oświadczył mi, iż Król zlecił mu przyjąć mnie z największą uczciwością i starać się, bym przyjechał bezpiecznie do Kaffy, i radził mi czekać na posła litewskiego wysłanego z upominkami do Hana Tatarskiego, na którego spotkanie Han 200 Tatarów dla bezpieczeństwa wysyła. Jakoż tak uczynić postanowiłem; siedliśmy do obiadu, ten suto i obficie był sporządzony. Byli tam śpiewacy, którzy w ciągu obiadu śpiewali. Siedzieliśmy długo u stołu z wielkiém mojém uprzykrzeniem. Przed wyjazdem pan Marcin kazawszy posłowi wziąść mię za rękę, po wysłuchaniu Mszy S. rzekł mu: »Cudzoziemiec ten jest jakby osoba królewska; odprowadź go w całości do Kaffy.« Rozkaz królewski odparł Litwin, jest na mojéj głowie; co się ze mną stanie, to i z tym gościem naszym.« Jechaliśmy przez rozległe stepy aż do rzeki Dniepru, oddzielającego Tataryą od Rusi i mającego w tém miejscu kilka mil szerokości. Tu Tatarzy wzięli się do ścinania drzew, które powiązali jedne przy drugich, a przykrywszy je gałęziami, złożyli na tym statku rzeczy nasze. Poczém poprzywiązywawszy konie ogonami do owego statku, sami rzucili się do wody, trzymając się grzyw końskich. Puściliśmy się więc i my na wodę, a wrzeszcząc i napędzając z całéj siły konie, przepłynęliśmy rzękę.«

Kontaryni opisuje rozmaite niebezpieczeństwa swéj podróży, zwłaszcza między Tatarami, przybycie do Kaffy, daléj

jak zapłynął do Phasis, z tamtąd podróżował przez Mingrelią, Georgią i Armenią do Tauris, a potém do Ispahanu, gdzie odprawiwszy poselstwo swoje, wraca morzem kaspiskiém przez Astrachan, Moskwę, gdzie go W. Xiążę Iwan III. przyjął bardzo dobrze i zadłużonego wsparł darem tysiąca dukatów.

Powtórne posłuchanie u króla Kazimierza tak opisuje:

»D. 15. Lut. 1477. przysłał mi Król suknią adamaszkową, koloru szkarłatnego, podszytą sobolami, i żądał, abym na dwór przyjechał w saniach zaprzężonych sześciu pięknemi rumakami, w towarzystwie czterech baronów, którzy stali zewnątrz przy saniach. Król zaprowadził mnie do swojéj komnaty, zasiadł na wspaniałém siedzeniu, a przy nim dwaj Królewicze w szatach karmazynowych, młodzi i piękni, jak gdyby dwaj aniołkowie. W téj komnacie było także wiele baronów, dworzan i innych panów; w pośrodku i naprzeciw Króla Jmci postawiono ławkę dla mnie i Król obchodził się zemną z niewypowiedzianą łaskawością; chciał, abym uściskał rękę Królewiczów, słowem przyjął mnie tak, że syna własnego nie mógłby lepiéj przyjąć. Zabierając głos, chciałem uklęknąć, lecz Król Jmć nie dopuścił tego, i nie pozwolił mi mówić, aż gdym usiadł. Opowiadałem z pilnością wszelkie przygody podróży mojéj, opisywałem kraje, którem przebywał i obyczaje ich mieszkańców, mówiłem o potędze Uzum Kassana i o tém, com u niego sprawił, czego Król chciwie słuchał. i t. d.« Podróży téj jest tylko 18 stron.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

Do Redakcyi.

(Dalszy ciąg.)

Rozruch i tartas uliczny był w tym roku, jak się wyżéj powiedziało, do ogłuszenia. Tu górnicy niemieccy w dość lichéj barwie wesołe wygrywają kuranty; chłopczyna z waltornią kręci się po domach, pukając do drzwi, które zastaje zamknięte, jakby ludzie wymarli; zagląda więc z ulicy do okien, ale na nieszczęście wiatr jakiś zawiał, i te szczelnie pozamykano; trudno dobijać się gwałtem; przegrawszy więc jednę sztuczkę wesołą, smutno wleką się daléj, probując szczęścia Dobrze im tak! kto mając ręce zdrowe, lekko, kształtną żebranką na chleb chce zarabiać, ten zasługuje na takie upokorzenie. Tam o kilkanaście kroków dudli tak nazwana *a contrario* Schönekatarynka, przy dobranym duecie staréj baby i jednookiego draba, który zgięty pod swym muzycznym ciężarem, ostatnich sił dobywa, aby swym wilczym głosikiem pół ulicy zagłuszyć. Po odegraniu rozdzierającéj pieśni, przedają ją po trzy grosze; czyli raczéj żebrzą u tych, co z próżniactwa lub ciekawości zachwycali się ich orfeuszowską melodyą. Na wyższym stopniu muzycznéj harmonii stoją harfoniści, skrzętnie z arfami, umilonym głosikiem i więdniejącemi już podobno wdziękami uwijające się w tym gwarliwym tłumie, próbując po cukierniach i winiarniach wszystkich środków swego kunsztu, jakie im tylko muza i gracya nastręcza, do poruszenia tkliwego serca, czyli raczéj worka mężczyzn, gorącym likworem do ocenienia sztuk pięknych lepiéj usposobionych.

Pod zamkiem zajęli miejsce główni wyludziciele grosza. Tu w budzie na prędce skleconéj mieszczą się najpotężniejsi monarchowie, najsławniejsi ludzie — z wosku. Wymowny właściciel galeryi umie ich czyny na pamięć, jak po sznurku. Musi to być prawda! lica ich glancowne rumienić się nie mogą, bo już za życia słuchając pochlebstw, rumienić się przestały. Przed nimi na tarczanie rozłożone malowidła najokropniejszych morderstw: całe szeregi porzniętych nieboraków, kołem tłuczonych delikwentów; straszliwe historye, aż włosy na głowie dębem stają. Jest to obrachowane na grube nerwy i twarde głowy; ale ponieważ takich najwięcéj, pełno tam zawsze było ciekawych spektatorów, co choć nie rozumieli wyprawnego Cicerone, objaśniającego malowidło, z roztwartą gębą spoglądali na te dziwy. Znaleźli się nawet i tacy, którzy kupowali te wydrukowane okropne historye, chcąc zapewne dzieciom i domownikom swoim umysłową sprawić niespodziankę. Smacznego apetytu! Po prawéj stronie na kolosalnym wozie roztaszował się jakiś uniwersalny geniusz, pokazujący za małą cenę prawie wszystkie królestwa natury, nie wyłączając i człowieka. Ostatni byłto kafer, koloru piernikowego, mający skórę miękką atłasową, włosy wełniaste, jak u murzynów, skład ciała ociężały, wyraz twarzy więcéj zwierzęcy niż ludzki; wydawał jakieś niezrozumiałe tony, napinał łuk, prezentował się w swojéj dzikiéj postaci, robiąc wszystko jak pies wydressowany na komendę. Za tą ludzką i zwierzęcą menażeryą ulokował się w budzie wysokiéj inny **drapichróst**, chcący swemi **spryńcami** wskoczyć do worka. Próżno się silisz, nieboraku, już teraz wszyscy, jak zagrają, skakać umieją, a zatém twa sztuka spowszedniała.

Oprócz wymienionych tu urwiszów, uwijała się jeszcze po ulicach, jak wróble na proso, cała cygańskich rzezimieszków łakoma zgraja: pomiędzy nimi zręczny małpiego rodu kształciciel, który pojętnych swoich wychowańców na wozku obwożąc, dowody swéj edukacyi po ulicy produkował. Wyćwiczone małpy skakały po linie, robiły bronią i tym podobne batożnego talizmanu zadziwiające pokazywały skutki. Że wzmiankowane tu małpie talenta daleko sztukę udawania ludzi posunęły, ztąd się najlepiéj okazuje, iż nawet na teatrze, gdzie przecie dotąd, Bogu dzięki, same rozumne istoty występować zwykły, tą razą zwierzęcych tych artystów w pomoc ludzkim wezwano; popisywały się zatém rozkoszne małpeczki, z wielkiém zadowolnieniem licznie na ten ciekawy spektakl zebranéj publiczności. Dla małp zaiste wielki honor!

Główną atoli tego roku świętojańską zabawą były wyścigi konne na rozległém błoniu ponad Wartą odbywać się mające, gdzie kształtna trybuna, imponujący czyniła widok. Jakoż wyścigi tak wszystkim zawróciły głowę, iż poważni nawet ludzie z największym interessem jedynie o wyścigach mówili, jak gdyby szło o zbawienie rodzaju ludzkiego. Taka jest potęga nowości dlamass ślepo za popędem chwilowym idących! Wrodzona człowiekowi ciekawość staje się dla niego kolącą tarantulą, pędzącą go swym ostrém żądłem za nowością. *Panes et circenses* wołał spodlony lud rzymski na swoje Cezary, a gdy zatkał gardło i nasycił oczy, zapominał o bożym świecie. Późniéj kilku roztrucharzy, żyjących z handlu końmi, kilkudziesiąt amatorów koni i masztalerzy składać będą szczuple widowisko wyścigów; tak się dzieje przynajmniéj po innych miastach, gdzie ten rodzaj rozrywki dawniéj zaprowadzony. Tą razą prawie cały Poznań dążył, jak na złamanie karku, na przeznaczone miejsce. Wszystkie pojazdy, a nawet od niepamiętnych czasów w kątach leżące graty w tym dniu powywłoczono, i już o 6téj godzinie zrana rozległ się po ulicach turkot powozów na błonia spieszących. Nieprzejrzany okiem szereg pojazdów ginął w odległości; przed nim aż do saméj trybuny na kilka staj stali wcześnie zebrani cierpliwi widzowie; z drugiéj strony za wodą w znacznéj odległości na wzgórku nie mniéj liczne ulokowały się massy. Na saméj trybunie pod namiotem elita zgromadzonéj rzeszy, postrojone damy; środek placu zajęli mężczyzni z kartami na głowie, udzielającemi im przywileju wniścia w szranki 1ym talarem okupionego. Czynni jako główni po koniach aktorowie tego widowiska, uwijali się i kręcili na tém szerokiém polu sławy nieśmiertelnéj, gdzie tyle ócz pięknych na nich spoglądało. Szczęśliwi, prawdziwie, było im czego pozazdrościć!

Nadszedł nareszcie pożądany moment dla widzów długiém oczekiwaniem śmiertelnie znudzonych. Całéj manipulacyi opisywać nie potrzeba. Kto kiedy widział na równinie dwóch jeźdzców w zawód bieżących, ten łatwo wystawi sobie wyścigi, z tą tylko różnicą, iż nie w linii prostéj, ale

w kształcie elipsy bieg był wytknięty. Z miejsca oznaczonego dwoma słupami poczynały się na komendę jeźdźców szeregiem w téj jak gdyby bramie stojących. Dwóch najprzód pędziło angielskich żokejów, umyślnie na takie wyścigi po Europie dla zarobku jeżdżących. Na równych koniach w różnobarwnych żokejskich angielskich ubiorach, prawie ciągle w równi z daleka niejako płynąć się zdawali; przy końcu dopiero mety ostatnich sił dobywając i niemiłosiernie chłoszcząc zmęczone konie, pędem wiatru ubiedz jeden drugiego usiłowali. Z początku miło jest patrzyć na tę walkę sił ku dopięciu celu z takiém natężeniem dążących, później atoli jednostajne wysilanie nudzić zaczyna, w końcu przy gwałtowném dobijaniu celu, żal jest zwierzęcia szlachetnego, które choć wszystkich sił w biegu dobywa, od niecierpliwego jeźdzca hańbiące odbiera razy, aby nad siły biegło. Trudno jest pojąć, jak prawdziwi amatorowie koni, które jako dzieci kochają, mogą obojętnie patrzyć na taką haniebną ich poniewierkę.

Więcéj effektu czyni, gdy kilkunastu jeźdźców razem puszcza się w zawody; ale i tu zmienia się niedługo widowisko na dwóch lub trzech równych sił biegunów, zaprzeczających sobie wzajemnie zwycięztwa. Reszta wcześnie wywiedziona z błędu lub jaką przygodą, n. p. spadnięciem z konia, od zuchwałego przedsięwzięcia odstręczona, wcześnie z konfuzyą ustępuje z placu, nadrabiając miną. Uważać można było, jak częstokroć małe uchybienie, n. p. opóźnienie się przy rozpoczęciu kursu, lub też niekorzystanie z najkrótszéj drogi na zgięciu elipsy, pozbawiało walczących zwycięztwa.

Odpowiednie niejako téj gromadnéj gonitwie, były na drugi dzień, *si parva magnis componere licet*, wyścigi samych wieśniaków. Ci bez żadnych rycerskich przyborów, po większéj części oklep dziarsko się kopnęli; kilku jednak ustało zaraz w biegu, daleko wtyle od innych wyprzedzeni. Jednemu spadł kapelusz z głowy: zamiast zostawić na placu, co raz padło, zaczął wahać się, wstrzymywać konia w biegu, aż nareszcie spadł z niego, jak zwykle upadają ci, co za lada przygodą tracą głowę, albo w środku przedsięwzięcia wątpić o jego skutku poczynają. Największéj sympatyi obudził jeden siwosz, z dziwną rączością wyprzedzający współzawodników, gdy wtém nierozważny jeździec wziąwszy słup inny za metę, zwinął przy nim konia, sądząc, że już jest u celu. Poznał biedak niedługo swój błąd, gdy go pra wie wszyscy wyprzedzili, w nogi za nimi, ale chwila marnie opuszczona powotować się nie dała. Inny dobiegł pierwszy celu i korzystał z cudzego błędu. Takto bywa: chęć szczera, siły nawet potemu, na nic się nie przydadzą, jeżeli kto nie zna dokładnie drogi i celu, do którego dobiedz powinien. Siły fizyczne marnieją w braku moralnych.

Kto i jakie dostał nagrody, tego wam, mili czytelnicy, opisywać nie myślę, raz że wyścigi poznańskie nie są to igrzyska olimpiskie, powtóre, że nawet równać ich nie śmiem z turniejami średnich wieków, które szerokie do prawdziwéj sławy otwierały pole. U nas wszystko zamieniło się na lubownictwo, zabawę i miłą igraszkę. Potrzecię, że mnie właściwie bardziéj interessują wyścigi ludzkie. Świat cały zdaje mi się być ową zaczarowaną elipsą, po któréj zaślepieni ludzie pędzą na przegoń za urojoném szczęściem. Ten z czarnym wąsikiem w sutéj modnéj landarze, grzmiący po ulicach młodzieniec należy także do współubiegaczów na wyścigach. Chciałby lekkim sposobem ubiedz szczęście. Kupił za trzy tysiące talarów landarę, dzielną czwórkę, ludzi postroił w galony i biegnie przyspieszonym krokiem do mety, którą jest córka bogatego tutejszego kupca Brudnickiego, a raczéj jéj posag. Zmarnotrawiwszy już dawno swą szczupłą po rodzicach substancyą, musiał nieborak zaciągnąć długi na posag przyszłéj swéj żonki. Nie zła spekulacya i zdaje się dość pewna, kiedy ostrożny żydek przestał na hipotece, jaką mu zapewnia wyżéj wspomniany misterny wąsik, figura kształtna, bócik na nodze jak ulany, a do tego jeszcze srebrną ostrogą uwdzięczony. Trzeba wiedzieć, że żyd nie wciemię bity, zna się lepiéj na fizyognomii niż Lavater. Wie on bardzo dobrze, że pan Brudnicki, posmoliwszy sobie dobrze ręce, chciałby je teraz otrzeć o szmat szlachecki, który herbem nazywają. Na tém się prosta jego opiera rachuba! możnaby mu już naprzód pięknych powinszować procentów. Pani Małgorzata Brudnicka, jak mówią, ćwik baba, skoro tylko corula dorosła (w któréj utoczeniu, mówiąc między nami, natura nie zbyt delikatnie się popisała), otworzyła także w swym domu dla młodzieży szranki. Te bronzy i alabastry w pokojach, te wielkie srebrne tace, na herbacie umyślnie na to danéj, aby je poprezentować, te grube ogniwa złotych łańcuchów na niéj i godnéj córze pozawieszane, nie sąžto wabiące premia wyścigowe dla tego, kto pierwszy dobiegnie mety?

A ów szlachcic, co teraz został Jaśnie Wielmożnym orderowym i wysokim urzędnikiem, czyż jego także nie zgubiły wyścigi. Miał piękny mająteczek po rodzicach, dobrze siedział w pierzu, ale te przeklęte wyścigi wysadziły go z siodła. Najął w mieście paradne pokoje, poskupował najmodniejsze meble, przyjmował u siebie gości, sprzaszał osoby do ambitnych widoków potrzebne, bywał w stolicy, zawierał związki, konnexye, aby tylko coraz zaszczytniejszy ubiedz tytulik, coraz wyższy podchwycić orderek; dobiegł niedługo mety, bo zrujnowawszy się zupełnie, a do tego wystrychnąwszy na dudka, gdy mu wierzyciele wszystko zabrali, ledwo gdzieś przy dalekim krewnym swéj żony nędzny znalazł przytułek.

Tym sposobem prawie wszyscy biegną na wyścigi, jedni gonią całe życie bez odetchnięcia za bogactwami, inni uganiają się za sławą; większa część tych współzawodników ustaje w biegu, nie osiągnąwszy upragnionego celu swych życzeń; zmitrężywszy siły i wiek napróżno, wleką nędzny żywot, zazdroszcząc ulubieńcom fortuny. Mała tylko liczba szczęśliwych dobiegła wprawdzie mety swych usiłowań; ale prawdziwa szczęśliwość — ta jeszcze za obraną metą daleko. Ostatni kres ludzkich życzeń, zimny grób! Ale czas pospieszyć na wystawę. *(Dokończenie nastąpi.)*

Doniesienia literackie.

Z nader szanownych rąk doszło naszéj wiadomości o następujących pracach literackich na Wołyniu i Podolu:

1) Ksiądz kanonik Hołowiński zajął się od dawna przekładem całego Szekspira; początkowe tomy wkrótce, to jest w ciągu r. b. u Glücksberga w Wilnie wyjdą. Znający angielski język mówią z pochwałą o téj pracy.

2) Konopacki Szymon przełożył wierszem Telemaka.

3) Uldyński, były professor historyi w Krzemieńcu, ma wykończoną historyą powszechną. Dzieło to ma być znamienitéj wartości, lecz będzie mogło być wydane.

4) Korzeniowski Józef ogłosił prenumeratę na dzieła swoje w r. b. wyjść mające.

5) Grabowski Michał napisał romans historyczny, którego tytuł podobno taki: »Najazd na Polskę w XVI. wieku;« nie przestaje on na drugim i trzecim tomie swojéj krytyki i literatury, i chce podobno co rok sposobem rocznika wydawać tom jeden swoich uwag o literaturze.

6) Regina Korzeniowska, pracująca nad atlasem historycznym polskim, już ma siedem tablic wytłoczonych.

7) Znaleziono rękopism pod tytułem: »Panowanie Stanisława Augusta.« Jest to dzieło jednego z obywateli w owym czasie żyjących. Objętość rękopismu wynosi 30 arkuszy.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*